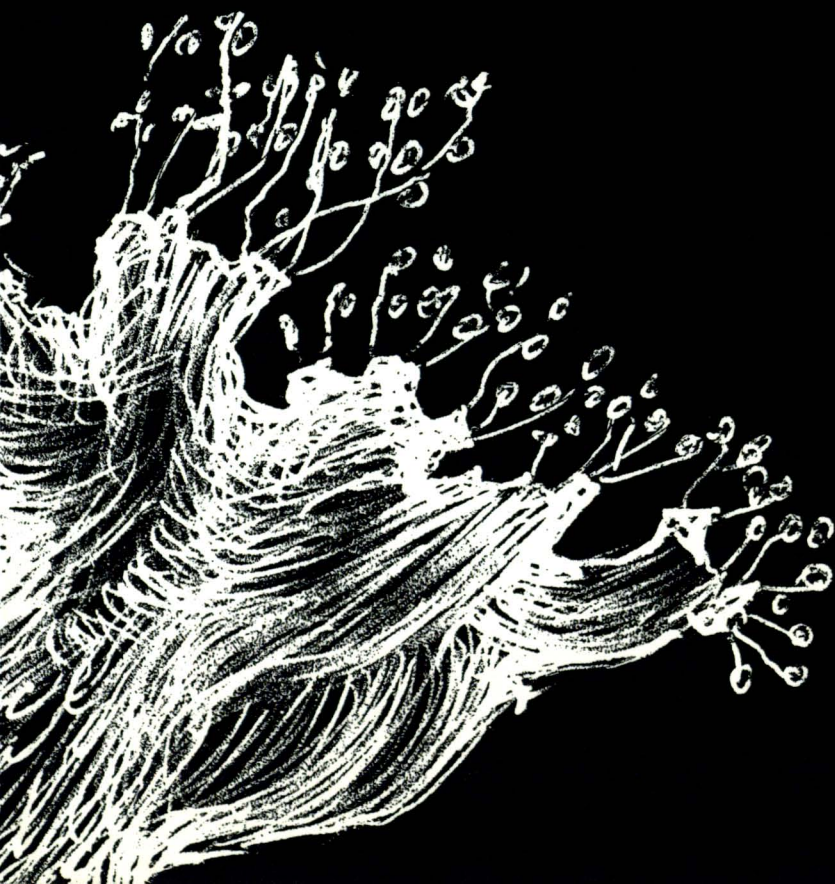


PODKARPACKA

IZBA

POETÓW



PODKARPACKA
IZBA
POETÓW

PODKARPACKA
IZBA
POETÓW



RZESZÓW 2002

Redaktor: Władysław Wójtowicz
Korekta: Agnieszka Skóra
Projekt graf.: Sylwia Tulik
Rysunki: Krystyna Niebudek

© Copyright by WDK w Rzeszowie

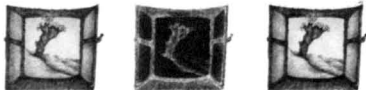
ISBN: 83-916114-5-0

*Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie dziękuje
posłowi na sejm RP – Bolesławowi Bujakowi
za wsparcie finansowe niniejszego wydawnictwa*

Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu
35-064 Rzeszów, Rynek 9; tel./fax. (017) 852-46-22
email: jfafara@intertele.pl

Druk: Techgraf

ANTOLOGIA



WSTĘP

Rzeszowszczyzna, a teraz region nazywany Podkarpaciem dzięki swym twórcom od dawna przydaje blasku literaturze polskiej. To od przedstawiciela polskiej awangardy literackiej Juliana Przybosa wziął imię Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy „Gwoźnica” powstały w 1960 roku w Rzeszowie. W jego pieleszach zyskiwało poetyckie wtajemniczenie wielu autorów pomieszczonych w tym tomie.

W stolicy obecnego Podkarpacia ukazują się regularnie dwa pisma literackie: *Nowa Okolica Poetów* i *Fraza*, promujące nasze macierzyste środowisko w kraju. Prężnie działający tu od ponad pół wieku Wojewódzki Dom Kultury nieustannie wspomaga wszystkich, którzy mocą uwznioślenia kreują krajobraz zaczarowany i dziedzictwo miłości, którzy w słowie utralają i przekazują innym własne niebanalne spostrzeżenia, wizje, marzenia, gniew i tęsknotę, wiarę i wątpliwości. Wartościowa, wielobarwna i ponadlokalna jest panorama dokonanych współczesnych poetów i pisarzy południowo-wschodniej Polski. Prezentowane w almanachu utwory zorientowane są na obecnie panujący porządek literacki, odchodzą więc od konwencji układów wersyfikacyjnych, formy zwrotkowej, rytmu i interpunkcji.

Większość autorów posiłkuje się naturalną rytmiką myśli, wykorzystuje układ formalno-logiczny jednego zdania – myśli, co stanowi kościec rytmiczno-konstrukcyjny wiersza. Wszechobecna jest jednakże zdolność przeobrażania rzeczy i nadawania im głębszego sensu. Są tu utwory inspirowane liryką krajobrazu, sławiące urokliwość małych ojczyzn. Celuje w tym **Stanisława Kopic**, ale nie wolno jej utworów kojarzyć z widokówką pejzażystością. Próbka:

A tu Lubenia w sadów huśtawce

To Moja wioska

Mała córeczka

Matki Ojczyzny...

Do tego te Stasine dialogi matkoboskie...

Jan Tulik reprezentuje poezję wysokiej próby. Droczy się ze współczesnością, która niekiedy przebóstwia samą siebie, penetruje destrukcyjne stany duszy ludzkiej. Jest w tym odważny – stąd diagnozy poetyckie są ostre, czasem tylko zlągodzone ironią.

Książd **Jan Kalinka**, ojciec **Cherubin Pająk**, ks. **Krzysztof Lechowicz** i **Barbara Brach** z pewnością są w tym almanachu reprezentantami poezji nurtu religijnego. Nie brak więc tu zamyśleń o Bogu, prób eksponowania centralnych idei poetyckich – dobra i zła. Pobrzmiwiają również tony oryginalnych modlitw poetyckich.

Pytania o sens życia stawiają: **Janusz Koryl**, **Jerzy Fąfara**, **Jacek Napiórkowski**. Ciekawie czerpie ze swojego rozległego warsztatu polonistycznego **Stanisław Dłuski**. Jego poezja jest trudna, pokłębiona wieloznacznościami, stąd zmusza do szczególnego uruchomienia wyobraźni. Tę złożoną niejasność, filozoficzną powagę i odniesienia mitologiczne dostrzeżemy także w wierszach **Ryszarda Mścisz**a, który nie bez żalu opuszcza czwartorzędne nowosarzyńskie Wrzeciono. Równie kunsztowne konstrukcje składniowe pojawiają się w twórczości **Marka Pękali**. Pękala przemycą ważkie pouczenia, napomnienia, a jego orężem jest sarkazm, ironia, szyderstwo.

Zdzisława Górka jako poetka lubuje się w portretach ludzi pozornie tylko wkomponowanych w szarość ulicy, bezimiennych. Zna doskonale wszystkie strony duszy ludzkiej i raz po raz jawi się jako leczycielka i pocieszycielka mądra wąpiących.

Wiesław Zieliński, **Adam Decowski** i **Anna Mirosława Nowak** mają za sobą już znaczny dorobek literacki i tutaj swoiście go pieczętują. **Mateusz Pieniążek** z ożywczą z dziecinną wprost radością wygłasza prawdy poetyckie ze swojego sławnego Zielonego Wzgórza w Łętowni, aczkolwiek wiele wierszy pochodzi z wysublimowanego warsztatu poetyckiego. Sympatycznie zaraźliwy jest optymizm Pieniążka, a filozofia niedekadencka.

Niełatwo było dobierać utwory do niniejszego almanachu, ale na pewno przebrnęliśmy różne formalne i dziwne układy, odniesienia, kierując się dewizą: dobrych trzeba publikować. A że nie brakuje na Podkarpaciu dobrych literatów, to ich twórczość znajdzie odzwierciedlenie w drugiej części almanachu poetyckiego.

Czesław Drąg



Barbara BRACH ur. 17 czerwca 1941 roku w Lipinkach koło Gorlic. Po ukończeniu kierunku muzycznego w Studium Nauczycielskim w Krośnie oraz filologii rosyjskiej na WSP w Rzeszowie powróciła do swych rodzinnych Lipinek i podjęła pracę jako nauczycielka, a z czasem dyrektor Szkoły Podstawowej.

Przez wiele lat współpracowała z redakcjami czasopism: „U nas w gminie Lipinki”, „Tygodnik Gorlicki”, „Region Jasielski”.

Od 1997 roku jest prezesem Stowarzyszenia Miłośników Lipinek i Okolicy w Lipinkach.

Wielokrotnie wyróżniana i nagradzana w konkursach literackich. W XVIII Międzynarodowym Konkursie Poetyckim „Szukamy talentów wsi” otrzymała w 1999 roku wyróżnienie. W tym samym roku, w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim w Oficynie Wydawniczej „TAD-AD” w Jastrzębiu Zdroju zdobyła Pióro Oficyny Wydawniczej „TAD”.

Wiersze jej znajdują się w wielu współautorskich wydaniach. Wydała tomiki wierszy: *Mowa serca* (WDK w Krośnie, 1997), *U źródeł – zbiór wierszy, monologów, pieśni świeckich i religijnych*. Do swoich wierszy sama komponuje melodie.



Powroty

W rodzinnym gnieździe
słysząc mowę ścian
na lotni pary
zapach wieczery,
chleb ze znakiem krzyża,
różana twarz matki,
palenisko,
pachnące drewno tańczy iskierkami,
ojciec twardą dłonią
rozdaje ciepło.

W kącie skrzypiące, dobre łóżko,
ono zna tyle kolorowych dni i nocy,
opiekuńczych spojrzeń.

Gdy chcesz w sercu odrodzić miłość,
przemierzasz kraj,
by móc wypić herbatę
z małego garnuszka
wesołego czerwonymi kwiatuśkami,
usiąść przy starym, dębowym stole.

Minęło tyle lat,
a on niezmordowanie stoi,
zawsze gościnny,
nie utracił pamięci,
przywołuje nas z różnych stron,
a mały garnuszek – talizman dzieciństwa
zawsze taki słodki i gorący
miłością rodziców,
czeka na nasze powroty,
napełnia się nektarem rodu.
Drzwi do niezawodnej dobroci
otwiera tęsknota

1998 r.

Przydrożna lipa

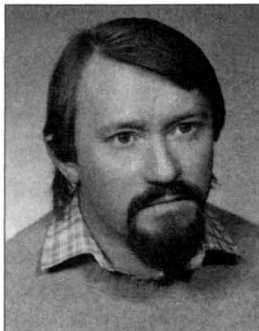
liściu miodny
ociekasz owadzi deszczem
głuszysz żar
podajesz nektar
w słońcu
cieniem przytulasz
w twoim użaleniu
kropla z serca
pod anielskimi
skrzydłami
rozprowadza zdrowie

1996 r.

Zasuszony bukiet kwiatów

w kwiatowej mozaice
zastygł czas
wielokształtne główki
pochyliły się
nad minionym życiem
żyły napięte jak struny
choć uschnięte
z uporem wabią
warto było żyć
został ślad piękności
namaluję bukiet wspomnień
w barwach słońca
i porannej zorzy
kwiaty powiedzą
co przeżyły
znają tak wiele tajemnic
ważnych dat przeszłości
bukietami zapiszę życie
każdy z nich
bezpowrotną cząstką
ostatni namaluję
przy nieznannej drodze
kwiaty związane
fioletową tasiemką
będą czekać
na ożywczy deszcz z nieba

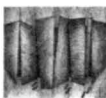
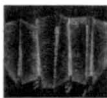
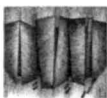
1996 r.



Adam DECOWSKI ur. 17.12.1948 r. w Sieniawie. Mieszka w Rzeszowie. Debiutował wierszem w „Zielonym Sztandarze” w 1975 r. Wiersze i fraszki publikował w pismach regionalnych i centralnych.

Wydał zbiorki: *Po tamtej stronie chmur* – poezje (Iskry, Warszawa 1983) *Fraszko-branie* – fraszki (Rzeszowska Oficyna Młodych , 1987), *Kalectwo żrenic* – poezje (Pracownia Litart, Rzeszów 1992), *Notatki z Sieniawy* – poezje (Wojskowa Galeria Malarstwa, Rzeszów 1997), *Zawsze modny grzech pierworodny* – fraszki (Agencja Wydawnicza Ad Oculos, Rzeszów 2001) swoje utwory publikował ponadto w wielu antologiach polskiej poezji współczesnej.

Jest członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie, gdzie pełni od 1990 r. funkcję skarbnika.



Żeby jeszcze

rzeka
zdjęła ze mnie
koszulę upału
a niosę w sobie ogień

łąka
zwabiła mnie kwiatami
a okaleczyłem się
ostrzem trawy

ptak
rozwinął we mnie skrzydła
i nie mogę oderwać się
od ziemi

żeby tak jeszcze
kamień
spadł mi z serca

Modlitwa człowieka

...który wziemięwstępując
zniweczyłeś
swoje dobre imię
że nawet rzeka
nie chce spojrzeć w twoją twarz
kończy się już królestwo
twoje na ziemi
(choć nie jest taka wola twoja)
więc pragniesz je odnaleźć
na innych planetach
chleba powszedniego
będziesz miał coraz mniej
więc naucz się go już dzisiaj
sprawiedliwie dzielić
nie będzie ci dane
odpuszczenie win
choćbyś znowu oddał
do pralni frak duszy
jeszcze w twym ogrodzie
tyle jabłek leży
choć po nie sięgasz
ciągle w ciebie wierzę

* * *

Pamięci ojca

z tej drogi przecież
nie wraca się wcale
więc czemu słuch wyteżam
u podnóża nocy

deszcze
już w rynnach czasu wyschły
do drzew wróciła zieleń
i ptak tuli się do nieba
śpiewem

tylko we mnie
ciągle rozkołysany dzwon

List

Siostrze i braciom

nasz dom
coraz bardziej w ziemię wrasta
jak dawniej rozmawia ze studnią
trzepocze skrzydłami drzwi
dymem podpisuje swoją obecność

jego podłoga
ostygła już od korków matki
klucz dawno pożegnał się z ojcem

mnie też nie poznał
patrzył tylko zdziwiony
i podał chłodną kłamkę

Ten ból głęboką raną wiersza

jest we mnie ten ból
łagodny i cichy jakby zdjęty z ptaka
mającego jeszcze w oku
obraz i zaplątane ścieżki do gniazda

jeszcze kaleczy mój sen
dom coraz bardziej odległy
jakiś krzew jabłoń mała uliczka
wszystko to trwa we mnie
jak szelest krwi wychwycony w tym miasteczku
jak cień zdobyty pierwszym krokiem dziecka

skąd ten żal
i nagle rozkruszona gruda czasu
na ziarna dni ostygłe w oczach
skąd ten ciągły deszcz
przyszywający do ziemi moje ciężkie stopy
jakby tlił się jeszcze we mnie lęk powrotu
w pejzaż utracony raz na zawsze

jest we mnie ten ból
jak ostrze światła wbite w popiół nocy
jątrząca głęboka rana wiersza
nie gojąca się nigdy

* * *

wczoraj
narodził się Chrystus

dzisiaj
ukrzyżowaliśmy Go

jutro
posadzimy drzewo
na kolejny krzyż

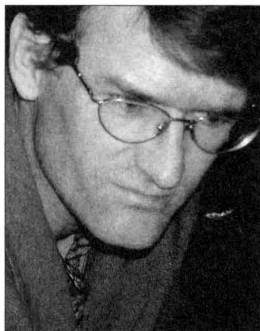
Wędrownka

Nad moim
a może i nad twoim snem
ten sam lęk
draży labirynty cieni
które zatrzasną się szczerze
gdy zostaniemy odcięci na zawsze
od światła

Któregoś dnia
przystajemy nagle w tym pośpiesznym marszu
oglądamy się
wołamy
nie ma jednego z nas

Jeszcze słyszymy gasnące kroki
chytamy w dłonie popiół jego słów
i nie możemy uwierzyć
że nie poda nam ręki
nie ogrzeje
klamki naszego domu
i nie potrafimy wypełnić
blizny powietrza
po nim

a nasza wędrownka nadal trwa
jej dni
słońca wahadło odmierza
aż kiedyś nieruchome
zawężli nasz czas
i opadający liść serca
ostatnim uderzeniem
w ciemność ziemi
zapuka



fol. Waldemar Lenkowski

Stanisław DŁUSKI ur. w 1962 r. w Dębowcu. Poeta, krytyk literacki, redaktor naczelny „Nowej Okolicy Poetów”, pracownik Uniwersytetu Rzeszowskiego. Wydał tomiki poetyckie: *Stary dom* (1995), *Dom i świat* (1998), *Samotny zielony krawat* (2001).

Współpracownik kwartalnika „Akcent”. Wiersze, szkice i recenzje publikował w kilkunastu czasopismach, m.in. „Periphery” (USA), „Kulturze” paryskiej, „Odrze” „Twórczości”, „Nowej Res Publice”, „Zeszytach Literackich”.

Otrzymał wyróżnienie im. Kazimierza Iłkowiakówny. Stypendysta Ministra Kultury. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Dębowcu i Rzeszowie.



Piosenka dla opuszczonych matek

*Zaraz przyszła mi na pamięć moja matka,
też tak szła przede mną, płakała i szła
nie wiadomo dokąd.*

(L. Buczkowski)

Przyjeżdżam do rodzinnego, obolałego Dębowca,
spotykam miejscowe staruszki, dla których
Zdrowaś Mario to codzienna tabletką na ból
głowy, rozmawiamy o trawie, którą podlewają

o świcie lokalni pijaczkowie, rozmawiamy o domach,
o reumatyzmie drewnianych bali i niebie prześwitującym
przez dziury w dachówkach. Synowie wyjechali do miasta,
zadeptali ścieżki niezłomnych ślimaków, opuścili sny

i łzy rodzone w porannej pościeli, układają pasjanse
dla swoich rodzin, zdradzają poezję w szaletach,
na biznesowych wernisażach, ale matki wschodzą

jak słońce, upominają się o pacierz, ziemię, dni
porzucone dla macochy, cywilizacji za pięć groszy.
Ojczyzny i samotne Wigilie płoną razem z nami.

grudzień 2001

Pijani Bogiem

Byli to przeważnie ludzie prości: chłopci, pasterze, wielbłądnicy, ciastkarze, cyrulicy, choć spotykamy wśród nich ludzi z miasta, ogromną większość stanowią chłopci, jest to więc ruch typowo chłopski.

Jeśli chodzi o stan rodzinny, spotykamy bardzo różne sytuacje: niezona-ci, żonaci, którzy rozeszli się za wspólną zgodą, czasami obydwie strony podjęły życie pustelników; spotykamy małżonków, którzy żyli w dziewictwie, oraz mężów, którzy porzucali swoje żony, nawet z dziećmi, choć spotykamy również wypadki wyjścia na pustynię z małymi dziećmi i wychowania ich na pustyni.

Człowiek odczuwający powołanie do życia zakonnego udawał się do starca, to jest człowieka doświadczonego w życiu wewnętrznym, aby u niego przygotować się do trudnego życia pustelniczego. Starzec nie przyjmuje ucznia od razu: doświadcza go, próbuje jego pokorę, wytrwałość.

Prosty, konkretny język koptyjski chłopca egipskiego IV wieku, w którym starali się wyrazić mądrość chrześcijańską mówiącą o najważniejszym problemie człowieka: kontakcie z Bogiem.

Jedzono co drugi dzień, co trzeci, a czasami nawet raz na tydzień. „Jakże możemy zdobyć bojaźń Bożą mając brzuch pełen sera i misę pełną wędzonki”. Wina używano, ale bardzo rzadko; ojcowie przypominali, że nie byłoby ono złe, gdyby nie było szatana.

Na ogół nie przyjmowano kobiet, nawet matki i siostry, co nie przeszkadzało mnichom udać się nawet do prostytutki, jeśli chodziło o zbawienie duszy.

Zupełnie inaczej miała się rzecz, gdy przybywali bracia lub ci, którzy szukali „słowa”. Ojcowie poznawali ich od razu, jako że posiadali umiejętność rozróżnienia swych gości. Byli oni przyjmowani serdecznie, z całą gościnnością. Istniał cały rytuał przyjęcia: wspólna modlitwa, rozmowa, wspólna praca, posiłek. Nauka, którą otrzymywali przycho-

dząc, nie zawsze jednak była wyrażona słowem: czasami była to lekcja milczenia, pokory, miłości.

Widzimy pustelników, ludzi z krwi i kości, którym nie brak obmowy, kradzieży, bójek, cudzołóstwa, któremu nie obca jest plaga starożytności – pederastia, ale również nieobce są wzloty mistyczne.

Pustelnicy wychodzą na pustynię, by tam, w królestwie swoim, szatan został pokonany przez ich pokutę, umartwienie, pokorę. I tam właśnie ma zostać odnowiony raj, gdy zakwitnie na nim życie anielskie.

Do starca przychodzi uczeń i prosi go o „słowo”. „Słowo” stanowi wielką łaskę i dar Boży, na który musi czekać, nieraz długo, i na który musi zasłużyć pokorą, wytrwałością, wiarą. „Słowo” starca uczeń musi przechowywać w swoim sercu i starać się je wypełniać. Uczeń ma się wyrzec całkowicie własnej woli, być całkowicie posłusznym ojcu i wprowadzać w życie „słowo”.

Droga trudna, droga męczeństwa, na której człowiek napotyka pokusy, zniechęcenie, oschłość ducha. Ale ona prowadzi do życia niebiańskiego – jest drogą prawdziwej filozofii.

Alkoholik na pustyni

*Kiedy się kocha trzeba odjechać
Rzuć swoją żonę rzuć swoje dziecko
Rzuć przyjaciela rzuć przyjaciółkę
Porzuć kochankę porzuć kochanka
Kiedy się kocha trzeba odjechać*

(B. Cendrars, tłum. J. Hartwig)

Opuszczam dom, córkę, żonę,
wszystkie przedmioty upragnione i
podrzucone, pióro kielkujące w kałamarnicy,
książki śniące obrazy na półkach,
przyjaciół i wrogów z ich miłościami;
zostańcie w płomieniu życia,
pilnujcie ognisk, smaków, zapachów,
kwiaty obrońcie przed zawałem serca,
a wasze kobiety przed ością samotności,
bo tylko tyle można ocalić przed nocą.

*Jedz trawę, noś trawę,
śpij na trawie: to znaczy, miej
wszystko w pogardzie i wyrób sobie
serce żelazne...*

Odchodzę na pustynię, upić się
ziemią i Bogiem, bez wody i chleba,
gwiazdy będą moimi oczami,
księżyc słowem w ciemności,
wiatr nogami, które uklękną
przed źródłem. O, napełnij moje usta,

kości, mięśnie Twoim oddechem, pijany
będę szedł przez piach aż do kresu
bez kresu, będę śpiewał psalm
zmartwychwstałego o zmierzchu



fot. Krystyna Baranowska

Jerzy J. Fałara ur. w 1956 r. w Rzeszowie. Jest autorem tomików poetyckich: *Kto lepszy* (KAW 1981), *Po drugiej stronie twarzy* (KAW 1986), powieści: *Czerwony pająk* (KAW 1991), *Dzień w którym stanąć miała Ziemia* (Techgraf 2000), słuchowisk radiowych: *Dzień w którym stanąć miała ziemia*, *Błękitne oczy syberyjskich jeleni*, *Rzeka*. Słuchowisko *Dzień w którym stanąć miała Ziemia* zostało nagrodzone za reżyserię na Festiwalu Słuchowisk Radiowych Polskiego Radia w 2000 r., zaś *Rzeka* – otrzymała drugą nagrodę w konkursie na słuchowisko, ogłoszonym z okazji 50-lecia Radia Rzeszów. Jest właścicielem i dyrektorem agencji reklamowej RAF oraz Podkarpackiego Instytutu Książki i Marketingu.



Wspólnota wulkanów

Najwspanialsze wulkany powstawały nad Wisłokiem - rzeką wędrującą przez miasto na wylot jak igła z nicią przez palec i płótno lniane makatki nad kran by oszukać Bożym pozdrowieniem siebie i pogańską wodę płynącą z kranu.

Wulkany były nieduże. A przecież tak wielkie, że nikt z nas nie potrafiłby się na nie wywspinać. Wiaderko piasku, czasem dwa, gdy budowaliśmy Fudzi. Przecież wielkość i tak nie zależy od tego ile waży wiadro, a od tego gdzie wzrok umieścisz. Janek Zemelko – na każdym podwórku świata jest ktoś taki – pierwszy to wymyślił, włożył do środka gazetę, i podpalił od dołu. Zniżyliśmy głowy nie dla uznania pomysłowości, a dla wulkanu by podnieść go wysoko w niebo. Góra dymiła, później strzelała ogniem. Bóg był nad nami, a my byliśmy Bogiem, Wulkan wulkanem, a reszta w nas.

Minęło prawie czterdzieści lat. Przeczytałem u Roberto Salvadori: *To wspaniale budować o zachodzie wulkany na piasku. Kiedy jest gotowy, zapalam zwitek gazety, który wetknąłem do środka. Z góry bucha ogień i dym. Szkoda tylko, że to trwa tak krótko.*

A mówiłem, że ktoś taki jak Janek Zemelko jest na każdym podwórku Świata.

Wulkany budowane z piasku przez chłopców na plażach oceanów, mórz, rzek, piaskownic są wieczne mimo, że trwają tak krótko jak lot świętojańskiego robaczka w lipcową noc.

Czasem pieką pod powiekami, mimo że wiatr już nie zdmuchuje z ich stoków ziaren.

Bar Świat

Legenda o śmierci Bohumila Hrabala

To takie proste uchwycić świat, a jeżeli nie świat to swoje życie, pieścizotliwie, aby ucho od życia, (zazwyczaj jest szklane, a jak nie to jak szkło kruche), wystawało ponad serdeczny i środkowy palec. Nawet nie dla ochrony palców, a dla pewności, że nie wyśliznie ci się z dłoni. Wtedy go najlepiej czujesz, całą powierzchnią dotyku, jakbyś powtarzał od dziecka ten sam rytuał poznania. Gołębie przypatrywały mu się od zawsze, a najbardziej pod Żółtym Tygrysem, a najbardziej, gdy przy swoim stoliku jak w śnie pijaka pił piwo z prezydentami Clintonem i Havlem bo trzeba umieć pić, aby sny się sprawdzały. Oto konsekwencja rzeczy: Nie co, ale jak. Świat jest rzeką, a przywilejem rzeki tworzenie wirów nad tymi, co na wir zasługują.

Gołębie czekały jak na kogoś kto przed latami opuścił ich stado by opisać to o czym wiedzą tylko gołębie.

I kogo chciałeś oszukać stary bajarzu.

Karmiąc gołębie wypadłeś z okna praskiej kliniki?

Skoczyłeś w ich skrzydła. Zostawiłeś ciało, nad którym nigdy nie miałeś litości, reszta odfrunęła z nimi. Stado jest znów razem.

I nikt by tego nie zauważył, gdyby nie jeden młody ornitolog z praskiego Libenia i oczywiście koty te donosiciele czasu, że na trzy godziny odfrunęły z Pragi wszystkie gołębie.

Przewoźnik deszczu

*Katolickie dogmaty są jakby
o parę centymetrów
za wysoko, wspinamy się na
palce i wtedy
przez mgnienie wydaje się
nam, że widzimy.*

(Czesław Miłosz)

W naszym mieście, do którego pod koniec lata
zlatują się szpaki, aby odetchnąć
w rozlewiskach Wisłoka, jakby tu brały początek
afrykańskie rzeki, a przynajmniej odgłos ich źródeł w
kamieniach wyrzuconych z prastarych, nieczynnych już
wulkanów, jest przewoźnik deszczu.

- Co wiesz przewoźniku? Co wiesz?

Krzyczeliśmy z drugiej strony, gdy ciągnął pustą krypę na
linie rozwieszonej między brzegami rzeki.

- Deszcz, deszcz wam wiozę!

I niczym dotarł do nas łań jak z cebra. A z Wisłoka
wyskakiwała tęcza, której wiatr zdarł suknię przez głowę.
Biegliśmy na krypę zdyszani jak to chłopcy, co chcą
zobaczyć uda tęczy nad swymi głowami.
Wiózł nas na środek rzeki, prosto w sumienie miasta.

Jestem poetą, którego nie ochrzczono w żadnym
z katolickich kościółków naszego miasteczka, tylko dlatego,
że był rok pięćdziesiąty szósty między poznańską a
węgierską rewolucją. Boże, kto jeszcze dzisiaj pamięta o
takich rewolucjach. Ja i mój ślad w metryce, a właściwie jego brak.
Kto dziś pamięta że byli rodzice, którzy nie chrzcili małych chłopców,
u nas na katolickim Podkarpaciu, ze strachu. Ze strachu o
nas niechrzczonych pokonywali lęk przed Tym w imię,
którego chrzczeni byli sami. Gdzie jest ta miara lęku,

ludzkiego wahania, pytań, odpowiedzi.

Oczywiście, że w Bogu!

Bo sam Bóg tak chciał. Aby w pięćdziesiątym szóstym roku
nie chrzczono chłopców, po to by do chrztu dojrżeli sami na
przekór rewolucjom, lękowi rodziców i udom tęczy
rozwartej między brzegami Wisłoka

- Co wiesz przewoźniku, co wiesz?

Krzyczę nad brzegami rzeki w moim mieście.

W miejscu gdzie kiedyś pływała krypa budują most. A
przewoźnik czeka na nas nieochrzczonych
po drugiej stronie
tęczy.

Przewodnik stada

Cała jesteś w kolibrach. Podchodzę do ich skrzydeł, aby nie zadrżała ani jedna struna wilgotnego powietrza.

Boję się go spłoszyć. Razem z wilgocią odlecą kolibry, które co rano piją rosę twego ciała. Chcę tylko patrzeć jak rosną w tobie delikatne namiętności skrzydeł. Cała jesteś w kolibrach. A ja nieporadny z nietolną męskością pośpiesznie przełykam ślinę, aby nie wybuchła pod powiekami słona.

Patrzę na Twe nagie ciało jak się patrzy na plażę i znów jestem przewodnikiem stada, które tej nocy sfrunęło ze wzgórz okalających miasto.

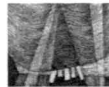
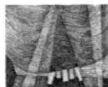


Zdzisława GÓRSKA Urodziła się i mieszka w Strzyżowie. Opublikowała tomiki wierszy *Wieczne źródło* (1996), *Przesiewanie czasu* (1999).

Laureatka konkursów poetyckich o Laur *Wagi i Miecza* w 1995 i 1998 r.

Jej wiersze zamieszczono również w almanachu *Wspólna obecność*, wydanym przez ZLP Oddział w Rzeszowie.

W 2001 r. w Chicago wydane zostały Jej wiersze przez Fundację im Tadeusza Ungera w pokonkursowym tomie „Poezja Emigrantów” oraz w rzeszowskiej „Frazie”. Jest członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie.



Smutek jabłoni

Jedno jabłko jabłoń ma
też jesieni,
drugie spadło między trawy
w bruzdy ziemi.
Jedno jabłko jabłoń tuli
chłód już blisko,
liśćmi śpiewa i kołysze
jak kołyską.
Jedno jabłko jabłoń ma
liść
opada
ciężko,
cicho
było dwa...

We mnie

Na zewnątrz
mojego smutku
błąka się jeszcze
grzecznościowy uśmiech

Wewnątrz
mojego smutku
nie ma nawet
dziurki
od klucza

Odejście

lato mi odchodzi
przyspiesza kroku
już za nim nie nadążę
niebo jeszcze wieczorem
jasne
choć w duszy
grają świerszcze niepokoju
i chłód
łasi się do nóg

dni krótsze
nieubłaganie
do nocy im spieszno
jak kiedyś
nam do siebie

Nieważne

nieważne – co było wtedy
owoc jabłoni czy gruszy
a może awokado

nieważne kto skosztował
pierwszy
i czyim grzechem jesteśmy
naznaczeni

ważne
że owoc był jeden

zerwanie
wszystkich owoców
z wszystkich drzew
poznania
nie odkryłoby
istoty wszechrzeczy

Łupina

pojawiły się nareszcie
słowa
o rozłupanej miłości
orzecha
dwie łódeczki
oddalały się od siebie
aby osiągnąć brzegi
nieznane



ks. Jan KALINKA od 32 lat pełni posługę kapłańską i jest obecnie proboszczem parafii Wólka Podleśna niedaleko Rzeszowa. Debiutował w 1982 roku na łamach pism katolickich. Zaistniał w liczących się antologiach, których edytorami były prężne ośrodki kulturalno-katolickie w Poznaniu, Lublinie i Warszawie. Jest laureatem wielu prestiżowych nagród literackich, m.in. Prezydenta Miasta Rzeszowa. Twórczość ks. Jana była prezentowana na antenie Polskiego Radia, Radia „Via” i w telewizji.

Wydał: *Widok pielgrzymkowy, Jak cienka jest ta zasłona* (Wólka Podleśna – Rzeszów 1993), *Musiąło boleć* (Warszawa 1998). Ks. Kalinka to również animator rozlicznych inicjatyw kulturalnych na Rzeszowszczyźnie, promujących także inne przejawy twórczości lokalnej.



Wątki religijne

Nad zlewem w kuchni
jabłko z uroczystości św. Agaty i czerwona nakrętka
Nie namaluje tej martwej natury
Van Gogh. Dzwoniłem, nie ma go.
Beksiński też nieuchwytny.
Czasem ludziska mówią w górach
i nad morzem:
Panie Boże ale to Ci się udało...
I jakieś wątki religijne próbuję widzieć
i u van Gogha i u Beksińskiego.
I wiem, i wierzę, że Van Gogh i pan Zdzisław
...gdzieś są.

Grzechy widziane z roweru

Czy grzechy lekkie
też Boga przysłaniają?
Z siodła roweru
obserwuję słońce nad lasem.
Wjeżdżam między sosny wysokie.
Nie widzę stąd słońca.
Przystanąłem blisko krzaków niewysokich
i dalej słońce przysłonięte.
Już wiem:
Grzechy nawet najlżejsze Boga przysłaniają.
Ech, miło wśród pięknych drzew
przemyskie lata wspominać
i nauki spod fresków Katedry;
tamten czas zauroczeń
W grzechach się ukrywają
i małe i duże diabły.

Frankowe gołębie

Franek z podziwem patrzy
na swoje gołębie.
Podskakuje, macha rękami,
spada i znów...
Nie doleci do ptaków,
już prędeż do Pana Boga
lub w Jego pobliże:
Przecież do kościoła chodzi.

Z parapetu
skacze kot z kością.
Na dole czyha pies.
Tyle wrzawy.
U Boga nie ma ani Żyda,
ani Greka.
Ani Polaka.

To dlaczego warczymy na siebie?
Bo Paweł niedoczytany...

Jezus liczy?

Śpiewaliśmy „Panie zmiłuj się...”
i wróbel pojawił się nad ołtarzem.
Zrozumiałem jeszcze lepiej –
po co Chrystus.

I Jego policzone lilie
i policzone włosy.
Gdzie teraz jesteś wróbelku?
Jezus wie.
I to jest też
ta Nadzieja Zmartwychwstania.

Do Karolów od Karola

Za dużo morza
wokół Ciebie?
I płaczesz,
co słyszę.
Nie widzisz portu ani kościoła:
Tyś winien: uległeś
nałogom.
Wspomnij podobnego Tobie
Karola de Foucauld.
Podobniście
- on też czuł,
że wnet woda zaleje mu usta.
Zrozumiał, że najpierw musi
wzniesić się
ponad czarne wały.
Po prostu – wypowiedział się.
To były Jego Zielone Świąta.



Stanisława KOPIEC ur. w 1953 r. w Rzeszowie. Wydała tomiki poetyckie, m.in.: *Niebieska wieś* (1992), *Wielki Wóz* (1997), *Seans serdeczny* (1998), *Gospodyni Mucha - Bajeczki dla córeczki* (2001). Mieszka w Lubeni. Swoim życiem stanowi, że być dobrą matką i także gospodynią w domu i na spłachetku górzystego pola to przepiękna, ale i niełatwa misja. Przeważnie to jest istotą jej poezji.

Józef Baran – wybitny współczesny poeta polski tak o niej mówi: „poezja Stasi Kopiec jest z daleka od giełd literackich i przez to może bywa niedostrzegana. Jej wiersze wyrastają z życia; są prawdziwe. To talent samorodny”. Z dramatu osobistego poetki wyrósł tomik *Seans serdeczny* (RAF 1998), który można przyrównywać do *Trenów*.



Kapliczka na Pańskiej Górze

Doczekałaś się, Niepokalana, kapliczki
na obraz i podobieństwo
naszych podgórskich domków.
Ludowy artysta nie słyszał
o krzyżowych sklepieniach,
nie widział doryckich kolumn.
Masz za to chatkę, jakich mało –
tylko patrzeć nad czerwonym dachem
dymu z komina.

Ale gdzie tam Tobie do palenia.
Modlisz się na szczycie Pańskiej Góry,
żeby, broń Boże, nie stało się nieszczęście,
kiedy jakiemu furmanowi przyjdzie jechać
po błocie „z pieca na łeb”.

Patrz – koźlaki dwa pod brzozą,
lecz nie podnoś wąskiej stopy:
wąż wśliźnie się w paryję,
kula ziemską się potoczy
stromym zboczem Pańskiej Góry
- wpadnie prosto do potoka!

Rozdaj ptakom nasze loretańskie nuty.
Grzyby i brzozy ułożą Ci
własną, lubeńską litanię.
„Śliczna-ś, śliczna-ś jak różany kwiat”...

Ech, wyrzeźbić Cię w wierszu
z borowikiem w rękę!

Kolczaste Królestwo

Niebieskooka królewno – tarnino!
Wypędzili cię z pól,
ale dopięłaś swego –
uczepiłaś się rąbka miedzy
i zakładasz swoje Kolczaste Królestwo.

Zima zaskoczyła cię
w szczerym polu.
Śliwkowymi oczyma wypatrujesz wiosny.
Wtedy łatwiej związać łyko z tykiem.

Na wieżycach Królestwa – reduty
dzielnych ptaków.
Walczą i z głodem, i ze śniegiem.
Biegnie zając –
Staje. Mierzy buty
na jarmarku pod gołym niebem.

Umarli

Umarli odwiedzają mnie teraz rzadko.
Jakby opuścili zaświaty
i wybrali się jeszcze dalej.

Może właśnie dostali
nowe mieszkanie,
kupują meble, wygodnie urządzają się
w nowym życiu.
A może Pan Bóg puścił ich
z torbami i nie mają
nawet na bilet do mojego snu.

Może to tylko wina sklerozy.
Lata płyną –
z pamięcią coś nie tak.
A może za bardzo oświeciła ich
światłość wiekuista –
zrozumieli nareszcie, że czas mi
trochę pożyć –
nie chcą mącić spokoju.

Może zostali zaliczeni
w poczet błogosławionych
i święcona woda sodowa
uderzyła im do głowy.
A może zawiedli się
na moich modlitwach
i utracili wiarę
w obcowanie świętych.

Leśniczówka w Straszylu

Drzewa stukają tu do okien,
pchają się do drzwi.
Pąsowe dalie przy rabatach
mchu i zajęcej kapusty
wyglądają jak uprowadzone
zamorskie księżniczki.
Nie potrafią tylko
ukryć swego szczęścia.
Spod kamiennych schodków
ścieżka – zaskroniec
zwinnie wypełza w las.
Mrówki szczypią ją po grzbiecie.
Wcale się nie boją
umundurowanych modrzewi
na służbie.
Za drewnianym płotem
mały jelonek
podstrzyguje las uszkami.
Pewnie słucha
przeboju leśniczego.
Na leśnej liście ciągle
„kalinowe noce, kalinowe dni”...

Sprzedalam lato

Sprzedalam lato za miskę malin.
Językiem wodzę po podniebieniu.
Opłaciło się.

Teraz trafia mi się kupiec
na cały rok.

Też niezły handel.
Warto przecież oddać
te trzysta sześćdziesiąt parę dni
za choinkę i wieczrę wigilijną.

Dochodzą mnie słuchy,
że ktoś chce kupić u mnie
całe życie.

Muszę się dobrze zastanowić,
czy mi się to opłaci.

Grzech

I nie wódź nas na pokuszenie...

A może czasem potrzebny jest grzech,
który zbudzi z błęgiego snu –
wyzwie na pojedynek
niepokalany spokój duszy.

Może wtedy ktoś usłudnie
poda mi lustro –
zobaczę, że wcale mi nie do twarzy
z różami przedwiecznej chwały.

Czyja to będzie dłoń –
ojca ciemności
czy Twoja, Panie mój?

Wielkanoc

Mario, Marto!
Już rękawy podkasujcie,
pulchne baby
na serwety powyjmujcie.

Więcej wiary!
Czemu smucić się zawczasu?
Ona przyjdzie –
wnet przekonasz się, Tomaszu.

Zmartwychwstanie!
Aloesy szykuj, ziemio.
Rozpuść włosy na wielkanoc,
Magdaleno.



fot. Józef Ambrozowicz

Janusz KORYL ur. w 1962 roku w Rzeszowie. Poeta i dziennikarz. Obecnie rzecznik prasowy wojewody podkarpackiego. Opublikował jedenaście zbiorów wierszy, m.in.: *Dyktando* (1998), *Mieszkam w sercu ptaka* (1991), *Kłęski* (1994), *Daleko i blisko* (1995), *Kłopoty z nicością* (1996), *Do czego służy niebo* (1997). W roku 2002 ukazał się jego wybór wierszy *Siatka na motyle*.



Ballada o poczekalni

Roksanie

Siedzę sam Córeczko w pustej poczekalni
Pociągi się spóźniają Czas płynie powoli
Wokół noc jak wnętrze ogromnej kopalni
Lśni księżyc jak posążek wyrzeźbiony z soli

Siedzę sam Córeczko z walizką sumienia
jakbym czekał na coś co już dawno było
Wieje wiatr i gwiazdy mówią „do widzenia”
Tak się chłód zaczyna Tak się kończy miłość

Dusza to jest małe pudełko z tektury
w którym leżą płatki zasuszonych kwiatów
Siedzę sam a we mnie doliny i góry
Głośny lament ofiar i znudzenie katów

Pociągi Córeczko utknęły daleko
Nic więcej o życiu wiedzieć ci nie trzeba
Siedzę sam jak wędkarz nad głęboką rzeką
i patrzę jak po wodzie płyną resztki nieba

kwiecień 2002

Uniwersalia

Każdy ma swoją wieczność
na własność:
człowiek wiewiórka i motyl

Zachowane są wszystkie proporcje
Ciała nie mniej i nie więcej
Duszy tyle żeby się mogła
zmieścić na ramieniu

Policzone są ziarna piasku
i liście spadające z drzew
Znany jest każdy obłok
płynący po niebie

Dla igieł przygotowane są
stogi siana
Dla dłoni rękawiczki
Dla szalików szyje

Każdemu wystarczy bólu i rozkoszy

Człowiek bez przerwy uderza w gong rozumu
Wiewiórka starannie rozłupuje orzech
Motyl toczy z gąsienicą
spór o uniwersalia

Żagle

Wspomnienia –

Właśnie one dają mi szansę powrotu
do miejsc z których musiałem odejść

I znów na dziecięcym rowerku
wybieram się w podróż dookoła świata
Znów siedząc na drzewie
zamieniam się w wodza ptaków
Idę do szkoły niosąc w tornistrze betlejemską gwiazdę
zawiniętą w papier jak drugie śniadanie
W kałuży po deszczu
woduję swoje pierwsze statki
Zasypiam głaszcząc księżyc
jak pluszową maskotkę
Mój sen jest punktualny
Nic nie odwraca uwagi
mojego Anioła Stróża

Lecz nagle wybucha pożar
w szufladzie z zabawkami
Gwałtowny przeciąg strąca ze stołu
słońce wycięte z papieru
Trzeszczą ściany domu
Śnieg zasypuje lustra

Po pewnym czasie wszystko staje się ciemne
jak niebo zatopione w studni
Matka siedzi przy stole
i ceruje żagle

Szanse

Nierówne szanse
między snem a jawą
między burzą a szklanką wody
między rozumem a wyobraźnią

Kropla draży skałę
Wiatr wypełnia żagle
Szmer rzeki próbuje zagłuszyć mowę filozofów

Nierówne szanse
między tym co było
a tym co dopiero będzie
między różowym ciałem dziewczyny
a zmarszczkami starej kobiety
między tańcem demonów
a życiem pustelnika

Głosy proroków brzmią niewyraźnie
Ogień piekielny zmałał
do rozmiaru płomienia zapalniczki
W magazynach filharmonii
leżą zakurzone archanielskie trąby

Fotoplastikon

Dopiero na dnie
czujemy się bezpieczni

Nie musimy się martwić
o siłę upadku
Brak ratunkowych kół
nie rodzi w nas lęku
Możemy nareszcie wyrzucić spadochrony

Dopiero na dnie
wszystko odzyskuje ciężar
Każdy gest znaczy tyle ile powinien
Każde słowo trafia tam dokąd trzeba

Nikt nie wzywa pomocy
Nie łamie nóg ani rąk
ani nawet języka
Nikt nie cierpi
na lęk wysokości

Na dnie
budujemy solidne domostwa
Sadzimy drzewa
Podlewamy kwiaty

I tylko czasem
w objazdowym fotoplastikonie
oglądamy barwne fotografie gór



brat Wenanty Krzysztof LECHOWICZ

ur. 4.11.1964 r. w Bielsku-Białej. Po ukończeniu Wyższego Seminarium Duchownego w Przemyślu w 1990 r. przyjął święcenia kapłańskie. Obecnie pełni posługę kapłańską w diecezji sandomierskiej.

Opublikował tomiki wierszy: *Fioletowy wiatr* (1993), *Tęsknota* (1993), *Kocham bo kocham* (1994), *Przesłuchanie zakochanego* (1995), *Dwie róże* (1995), *Zaczekaj, zawołam Miłość* (1996), *Jak marmur, krew, światło...* (1997), *Jeszcze tylko mgła* (1998), *Dojrzewanie dębów* (1998), *Dla Ciebie Przyjacielu* (1999), *Nie umiem odejść od brzegu oceanu* (2002).

Liczne publikacje wierszy w prasie, antologiach, audycje radiowe i telewizyjne, teksty piosenek, opieka nad młodymi twórcami (wstępy do tomików poetyckich), liczne spektakle autorskie na terenie kraju. Jest członkiem Związku Literatów Polskich.



Chwila

Krzyśkowi Z.

Rozlewisko zielone spokojne
krzątające się ptaki
niebo rozsnuwa senne barwy
kropelki wody na trawach
jestem w tej ciszy rozczulonym słońcu

jak cisza

czyżbym dopłynął?
a może to fatamorgana
na niekończącym się szlaku?
przecież droga jeszcze długa
chyba
nie wiem

Jeszcze w sercu

J.E.Ks. Bp Marianowi Zimałkowi

Nie ma saturatorów
nie ma już do kogo powiedzieć
„proszę jedną wodę
z podwójnym sokiem”

ale ciągle jesienne gałązki
ubierają się w perły skroplonej mgły
jak dawniej
one są wierne

i jeszcze ta melodia w sercu
jak okruchy słońca w strumieniu
jak katedra z wody wyrasta
bo jak inaczej powiedzieć
gdy miłość płonie w sercu

a woda coraz głębsza
katedra coraz większa

Nie tylko dlatego

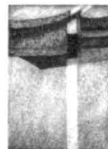
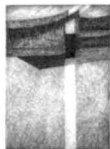
Dzwonię nie tylko dlatego
że chcę napęłnić się radością
że chcę zapytać jak poukładać dni
dzwonię nie tylko dlatego
że chcę podziękować za krzew forsycji
przeprosić że brakło cukru
- jeszcze nie skończyłem –
dzwonię nie tylko dlatego
że tęsknię



Ryszard MŚCISZ ur. 2 lipca 1962 r. w Stalowej Woli. Nauczyciel języka polskiego w Zespole Szkół w Jezewem. Filologię polską ukończył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie.

Publikuje w „Zeszytach Naukowych” WSP w Rzeszowie, piśmie „Fraza” (stały współpracownik), „Głosie Nauczycielskim”, „Super Nowościach”. Wielokrotnie jego wiersze publikowane były w antologiach oraz w prasie regionalnej.

Jest członkiem Klubu Literackiego i Stowarzyszenia Literackiego „Witryna” w Stalowej Woli.



Obecność

Kasi B.

Ta chwila kiedy przenika promykiem
rozpogadza dzień swoją jasnością
i sprasza na ucztę wszystkie
odświeżne myśli
tak zwyczajna w swym cudzie istnienia
szczerze rozbijająca z powagi
anielska nawet kiedy się gniewa
okrywając chmurką lekką błękit
i gdy przekomarza się ze mną
z uśmiechem bezbronnej amazonki
kiedy kwitnie zmysłowo jak młodość
opatruje me troski i wiarę
znów zaglądam przez bramy edenu
co tak bliski i daleki zarazem
lecz jest

Achilleida

Prowokować kolejne rany by wiedzieć
że żyję
mieć pewność iż nawet najgłębsza
nie będzie ostateczną
a zginąć dając chwalebny dowód
dokonania niemożliwego
lecz jak doszukać się boskiej genealogii
istnienia by dać świadectwo
gdy w życiu kurczy się serce wątłe ramię
opada głowa zbyt nisko
pulsuje pięta po której depcze czas
doskwiera ból bez pewności czy chwilowy
staje mężnie wróg a gdzie moja
przewaga szans
któż spisze dzieje błahe
wojownika jednego z tak wielu
daremnie szukającego przewag i różnic
tonącego w moczarach na uboczu świata
jak Ikar z obrazu Breughela
którego jednak o wieki wcześniej
na wszelki wypadek
nie rozslawił mit

Matnia słowa

Bronię się ciągle wewnętrzną mocą
Naiwności i milczenia
Przed zgrozą władzy potęgi kariery
Bo naiwność jest pokrewna uczciwości
Milczenie zaś broni przed labiryntem słowa
Które nie znaczy lecz prowadzi grę
Stanowi drogę zawiłą
Sympatyczny atrament treści
Nóż z korkociągiem i o wielu ostrzach
Równocześnie też z pilniczką do
Atawistycznych paznokci
Wytrych do wnętrza serc i dusz
I lep na „zmuszonych” ludzi
Ocalam się więc w naiwności
I oszczędności swej
Dla szlachetności jego
Która
Nic nie znaczy



fol. Grażyna Niezgoda

Jacek NAPIÓRKOWSKI ur. w 1966 r. w Rzeszowie. Poeta, tłumacz, autor szkiców literackich. W latach 1988-94 przebywał w USA. Studiował m.in. w The City University of New York, University of Hull (Anglia). Wydał tomy poetyckie: *Lodowiec* (1990), *Wiersze nowojorskie* (1992), *Bezdomny kolorem* (Wstęp: Krzysztof Karasek – 1998), *Rozjaśnienia* (2000), *Podróż na trąbie* (2002). Członek warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz redakcji pisma literackiego „Nowa Okolica Poetów”.



Sily

Ulegałem modom chmur, czciłem
Jezióra i wiatry, pielęgnowałem słowa,
Słomiane statki.

Mój język
Rozdwaja się w deszczu.
Jestem uczniem Czerwca.

Nie ma sensu dla ciebie moja mowa.

W Sandomierzu zakopałem tornister malca,
Który ugrzązł na krach.
Wyobrażał sobie, że kry to Bóg.

*

Nieurodzajne lata narodów.
Politycy malują na ścianie
jelita Lewiatana
(cienkie i poskręcane
wokół szyjek połkniętych)

Jakby malowali szypułki
Jakby malowali liście

A gdy kończy się ściana

Rytują na
Ulicy ławce grobie twojej twarzy

*

BIAŁY SZUM GWIAZDY

Blizna rzeki na plecach, którą noszę
Jakie skrzydła mnie uniosą
Kto wypowiada głos

Brałem w ramiona trawy
Ale odepchnęły mnie
O podbrzusza gór!
Wnętrzości parowozów!

Stoję między wiatrami
Zapatrzony w twoją twarz
W oko paproci
W kroki wszystkobiegu
W krnąbrne metrum chmury
(Uratuj pamięć i sny)

Mleko matki wylewa się ze mnie

*

Nurzałem się w tak małym morzu że zamiast puszczy rósł w nim
tylko
świergotliwy powiat zasiedlony dziećmi, których czerwone policzki
mrugały w toni jak elektryczne piecyki. Było to Morze Bałtyckie,
ale myślałem o nim: Patyckie, bo zbierało zewsząd
wydrążone patyki na podpałkę jesiennych sztormów.
Nie potrzebowało wiatru, a huśtającą siłą wydobywało
z aqualungów topielców. Zgubiłem w nim swój pierwszy medalik
i łepiek ołowianego żołnierza. I świecą teraz, dwa śmieszne pulsary

*

R.R.

W każdym mieście jest co najmniej trzech,
z którymi chciałbym o świcie
napastować rzekę.

W każdym mieście płaczą piękne dziewczyny
i kiedy wracasz nocą
słyszysz jak zabijają młode przeklinając burzę.

W każdym mieście jest wieś gorsza niż sto
przedwojennych wsi, gdzie chorym wkładają na głowę
worek i pozwalają szczekać na dnie jeziora.

W każdym mieście jest niewidzialne miasto, stolica serca,
schronisko deszczu i twojego uśmiechu, dzieci i zwierzęta
rodzą w nim światło.

W każdym mieście jest purpurowa wieża, z której
najzdolniejsi i drogocenni
skaczą śpiewając pieśni.

W każdym mieście rozchodzą się dwie drogi, których
połączenie być może dałoby kres wojnie, chorobom, głodowi
i pustemu śmiechowi.

Są w każdym mieście miejsca, których nie można opisać,
lecz bez których miasta stałyby się żałosnymi chorągwiami.

W każdym mieście mijają się mężczyzna i kobieta,
chodzą razem do szkoły, żyją na sąsiednich ulicach,
wpatrują się w to samo niebo i tęskniąc umierają nie wiedząc o sobie.

W każdym mieście są istnienia nikomu niepotrzebne
i nieuzasadnione,
krętacze, sekciarze, przekupnie, pracownicy kantorów,
którzy zmieniają świat.

Losy każdego miasta uzależnione są od świętych wód podmiejskich
gdzie chłopcy szukają dowodów na istnienie czegoś ważniejszego od
seksu. rzek,

Każde miasto jest cmentarzyskiem idei.

Każde miasto ma swojego tyrana i odkupiciela, lecz
tylko w jednym chciałeś od zawsze przewodzić rewolucji.

Każde miasto kołysze się jak dym w zwierciadle twoich oczu
i daje ci jedyną możliwość.

Każde miasto czci siebie i tylko sobie ufa.

W każdym mieście możesz zamienić się w państwo.

Nakreślony

Ptak zawisł nade mną.
Ten ptak, który jest, w cieniu chmury,
zamarł teraz w bezruchu
na zimnej twarzy nieba.

Kim ty jesteś – mówi do mnie -:
osobą, psem, świnią czy arkadyjskim porządkiem?
A może poławiaczem pereł
trenującym w pustych basenach dni,
w zbiornikach retencyjnych nocy?
Widzę jak momentami przeistaczasz się w chorągiew
jakiegoś nieznanego państwa.

- Ptaku, błyskawico czasu,
Uratuj mnie od zagłady,
Nie szukaj więcej mojego imienia,
Bądź tylko wierny światłu, które pracuje, samotne,
W moim śnie o świetle,
Nad nim stój.



Anna Mirosława NOWAK ur. w Skarżysku-Kamiennej, od 22 lat mieszka w Rzeszowie. Opublikowała zbiory wierszy: *Umykający świat* (1992), *Zatańczyć zieloną wiosną* (1994), *Mozaika* (1996) oraz *Studnia czasu* (1999).

Publikowała na łamach prasy regionalnej i w antologiach: *Witraże niepokoju* (UTW przy Uniwersytecie Rzeszowskim), *Księga poetów – Księga przyjaciół*, *W ciszy przyjdź do mnie*.

Jej wiersze emitowało radio w cyklicznym programie „Prezentacje poetyckie” oraz TV w „Telewizjerze literackim”. Jest członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie.



Oddech w dłoni

Na kurzu zwierciadła
piszę słowa z mocą zaklęcia
 kwiaty wędną cicho
 ciebie też coraz mniej
rozbijamy się o rafy lat
trzymając w rękach
piosenkę o szczęściu
zanurzamy się
wypływamy
po stokroć kochamy
 słońce zamknęło w ciepłe
 płatki róż
 rzeka zabiera tęsknotę i łzy
 które chcą dopaść oczu
 chwytam oddech w dłonie
 i pnę się w górę
 dzisiaj moje włosy
 spłyną lawiną
 aż po świt...

Twarze

Twarzą w twarz
przekraczamy samotność
twarzą w twarz spokojną
surową
szczerą
ukrytą w dłoniach
pełną koncentracji
zmysłowości
w twarz
którą można stracić
zachować
w twarz moją twoją
wyjątkową niepowtarzalną
twarz – małe boisko wzruszeń
mozaika
twarz – człowiek.

Jej zapach

Zaprosił ją
na woń dzikiego bzu
na usta spragnione
na szept ciał
dotyk jedwabiu
zanurzyli się
w oceanie zmysłów
w krzyku spełnienia
 a gdy zebrali
 omdlałe myśli
 długo pieścił
 jej znikający cień
 i łowił zapach
 unoszony przez wiatr.



ojciec Cherubin (Julian) PAJĄK z Zakonu Braci Mniejszych – Bernardynów. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1964 r. w Krakowie i tam ukończył Studium Pastoralne. Po odbyciu studiów muzykologicznych był wychowawcą kleryków w Wyższym Seminarium Duchownym OO. Bernardynów w Krakowie. Jest Dyrektorem Studium Organistowskiego w Rzeszowie i uczy muzyki w Instytucie Teologicznym w Sandomierzu, jest dyrygentem chóru parafialnego.

Współpracuje z Regionalną Rozgłośnią Radia Rzeszów i z dziennikiem „Super Nowości”. Współpracuje z PZCHiO jako duszpasterz i współorganizator imprez muzycznych. Jest autorem tomików poetyckich, książek o tematyce rodzinnej i komentarzy do niedzielnych czytań liturgicznych.



Dwie róże

Nad podziw piękna
Nad wyraz wiotka
Róża Saronu
Niepokalanka.

Nad podziw szorstka
Nad wyraz silna
Róża Jerycha
To zmartwychwstanka.

Spoglądam na nie
Tu na pustyni
I w Sandomierskim
Domu Długosza,

Jak na podwójne
Wymiary czasu
I przeżywanie
Jednego życia.

Morze biblijne

Wychwalam ciebie morze biblijne
Ty jesteś wszystkich mórz archetypem
Nam dziś przystoi słowem cię wielbić
Bo jesteś cudem cudów stworzonych

Na tobie Chrystus znaki cudowne
Czynił by dowieść swojego bóstwa
Ile nastroju ile uniesień
Daleś wiernym twego potomstwa

Na rozkaz Boży hojnyś jak matka
Gdy, płodna, darzy liczny potomstwem
Dane ci było unosić Boga
Gdy suchą nogą po falach stąpał

W łodzi rybaka Chrystus się zdrzemnął
A szum twój tulił błogim spokojem
Ty trud proroka błogosławił
Gdy ryby w sieci chwycił obficie

Nawet gdy fale w wiatru porywach
Wzbierały groźne o chmurnym świetle
Ty, mórz nastroju, urok dawał
miły jak romantyczne świątynie

Na twoich brzegach lud się osiedla
Tam Kafarnaum czy Tyberiada
Owoce morza darzyłś wszystkich
Jak dobry rządca i sprawiedliwy

Do ciebie niechym do Boga wznoszę
Moje modlitwy jak lot rybitwy
Byś nadal było mi pocieszeniem
Obfitym tchnieniem, błogosławieństwem

Do ciebie Stwórcy modły zanoszę
Modlitwa moja jest dziękczynieniem
Byś nadal było moim wzruszeniem
Świątym natchnieniem i uniesieniem.

Po Tyberiadzkim i Martwym Morzu

Jak rzeka życia Jordanu wody płyną
Wzbierając falą hen w Tyberiadzkim morzu.
W korabie płynę pośrodku burz i gromu.
Ty, Chryste, rozkaż, niech się szkwały uciszą.

Martwego Morza w starości burze cichną.
Już życie moje nie pozna nowych portów,
Nie ujrzy celu; już nie ma pasji, głodów.
Opadły żagle, majaczy okręt-widmo.

Ty nakazałeś budować dom na skale,
W odmętach życia zsyłałeś boskie cisze.
Panie! Na starość ja już wezwań nie słyszę!

Tchnij ducha w żagle i porusz martwą falę!
Chwyć w ręce ster i namierz kurs na gwiazdę!
Niech ujrzę cel! Wzbudź, Chryste, we mnie wiarę!

Życzenie dla młodych

Płynącym, by mogli gruntować,
Okrętom stóp wody pod kilem,
By mogli pomyślnie żeglować,
Żeglarzom przed rejsem życzyłem.

I tobie ty mój przyjacielu,
Gdy ruszasz na wody szerokie
Wśród wiatrów pomyślnych uśmiechu,
Pozdrowień ci mnóstwo zanoszę:

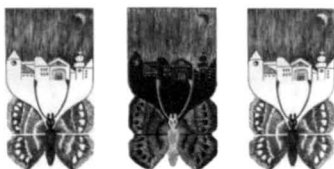
Twardego oparcia w przyjaźni,
Niech ludzie ci wciąż będą radzi
I gwiazda ci drogę rozjaśni,
Duch dobry przez życie prowadzi.

Gdy wiatr i morze wzburzone,
Ryk fali spieniałej i szkwały,
Niech świecą ci portów latarnie,
Sprowadzą do cichej przystani.

Modlitwy, westchnienia Twej matki,
Niepokój tak ojca jak bliskich...
Zbawiciel chodzący po fali
Ukoi, pocieszy, uciszy.



Mateusz PIENIAŹEK ur. w 1952 r. w Przeworsku. Autor poezji, wierszy lirycznych dla dzieci, baśni i legend. Opublikował m.in. zbiory wierszy: *Zaproszenie do słów* (KAW 1992), *Królestwo* (Anagram 1991), *Opowiadam Gabrieli*, oraz bajki dla dzieci *Bajeczki z zielonej teczki* (KAW 1990). Mieszka w Łętowni koło Przemysła na „Zielonym Wzgórzu”.



Lord White **na spotkaniu z liściem**

Drgasz skulony jak nieboskie stworzenie
Chłód cię zwija w zielony rulonik
Całyś zieleń i drżenie i dotyk
Chłoniesz wiosną – zielony narkotyk

I ogrzewam twe ciało liściaste
Stoję w chłodzie ponad gwarnym miastem

Czekam słowa piór pełna strona
Jastrząb czepia się chmury ogona
I do liścia zbliżam się z piórem
Suną słowa chmura za chmurą

Wiersze kładę jak lotne szybowce
Gram na liściu – zielonej trąbce

Drgasz wydęty jak boskie stworzenie
Chłód zielony w ciepłą pieśń zamieniasz

Lord White tęskni

Wiersz umierał cały rok
Ale wyszedł z tego
Biedny tli się w słońcu wzgórz
Dzisiaj ożył
W odwilży szukał śladów ostatniej rozmowy

Już zna drogę
Przyczołga się do bramy
I zawyje z tęsknoty

Lord White **na spotkaniu z motylem**

Noc wisi na wieżach
Wieszam płaszcz przy otwartym oknie
Dotykam motyla
Śpi
Jak zamknięta księga
Co chce mi powiedzieć przez drętwe żagle skrzydeł
Rzucam go
Daje się poznać – egzotyczny
I odlatuje niedoczytany do końca

Noc wisi na wieżach
Ubieram płaszcz przy otwartych drzwiach
Odchodzę
Nierozpoznany do końca

Łąka pozostaje

Musisz kiedyś powrócić ku przystani ciemnej
Poprzez traw korzenie odbierać łąy i rosy podziemne
Zakotwiczasz to teraz w tym Czasie
Podróży ku gwiazdom pustym
Im dalej i wyżej tym szybciej twoja noc

Byłeś kiedyś delikatnym ptakiem
Pod żaglem sukni matki
Teraz ona niecierpliwa patrzy na ciebie
Chyba wie
I dlatego patrzy
Twoje słowa zaczynają spadać
Topią się w wierszu
- w tej realnej próbie zapisu nie na zawsze
Wiesz już cokolwiek
Że odejście to powrót w korytarze
Nie w zielone łąki
- Łąka pozostaje

Lord White **w bieli Agnieszki**

Płaczą lipy wniesiono Agnieszkę
Z lilii kapie przedwiosennym deszczem

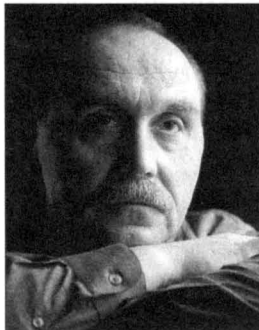
W złotych włosach modlitwa aniołów
W sukni białej – opłatek dziecka
Cała w kwiatach szronach i świecach
W Bożym świecie króluje Agnieszka

Na kamiennej posadzce kościoła
Śpiewy słyszę cudownych dziewic
I falsety chłopców – sonatiny słoneczne

Jaśni chłopcy zbiegli z chorągwiami dnia
Trzymają mszał oczami
Na płomieniu – mgła na ołtarzu – mgła
Mgła za drzwiami

I wychodzi Agnieszka z ołtarza
Stada ptaków wypuszcza z ramion
Na posągach welonach i twarzach
Ciepły promień wielki nieba namiot

Śmieje się cmentarny modrzew
Wszak królewski Agnieszka ma pogrzeb



fot. Piotr Kowalczyk

Jan TULIK ur. w 1951 r. w Gołęczynie k.Tarnowa. Poeta, prozaik, krytyk, wydawca. Autor m.in.zbiorów wierszy: *Zdarzenie w C-durze*, *Ocalone drzewo*, *Budzenie licha*, *Wada pierwородna*, *Suplikacje*, powieści: *Furta* i *Doświadczenie*, która zyskała uznanie krytyki i czytelników, zwłaszcza po znakomitej interpretacji Marka Kondrata w III Programie PR. Autor dramatu *Kontynenty*. Mieszka w Krośnie.



Historia zapomnianej półki

Miotełka z pawich piór – sztucznego puszk
omiata grzbiety książek, zardzewiałych programów
teatralnych, z których „osoby dramatu” już się postarzały
albo radują się na Wszystkich Świętych.

Miotełka wypadła z dłoni,
pomięte litery ożyły,
przywołały wiosnę jesienią.

Znów Romeo oszalał nieznośnie, podczas
gdy Julia, pełna powściągliwości, była opętana
miłością prawdziwie. Znów rycerz na ośle
napełniał żołądek kiszka; Mazepa
stapał po linie pomiędzy kłamstwem a śmiechem.

Może pamiętki przetrwały na rzadko omiatanej półce
by teraz wyliczać Makbetów, którzy otarli się
o moje życie, by raz jeszcze siebie pytać,
która Julia kochała szczerze; i czy Celestyna
chciwa i podstępna, kupcząca miłością rajfurka,
posiadła mądrość życia.

Lecz pytania te nadal nie są zadowolone z odpowiedzi.
Jak już zdarzało się, i tym razem tkliwa
zaduma kończy się gniewem na szubrawca Szekspira,
który rzucił pośród nas zatrute owoce pytając
„być albo nie być”. Jakby pomiędzy nocą a dniem
nie było szczeliny na blask, na cień.

Rzeczowniki

Komu potrzebny jest powój? Rośnie nie siany,
niechciany. Snuje się przy drogach,
których nikt nie pielęgnuje; oplata spróchniałe płoty,
kwitnie, lecz nie trafia do flakonów na obrusach.

Albo pospolita pchła. Kąsa psie karki
gdzie nie sięga ich łapa, skacze
na ludzką skórę, także po krew.
Nawet jej kształt nie może uwodzić oczu,
jest mniejsza od łebka szpilki,
na którym mieszczą się tylko rzesze diabłów.

Niepotrzebnych stworzeń jest więcej.
Czy po to, by człowiek zachodził w głowę?

Pod Tarnicą, dwie godziny od szlaku,
na pniach starszych od mchów
wiszą rzeźbione światełki. W czasie wojny –
a była to biała zima – spostrzegł je
w poświacie księżycy człowiek z karabinem.
Dlatego turyści i dziś niekiedy zbaczają
ze ścieżki na cztery godziny.

Rzeźbiarz miał szczęście – mogły tylko wilki
wyć do świętych oczu do dziś; i sowy odpoczywać
pomiędzy mrokiem a mrokiem na ich ciemieniach.
Więc przydaje się katedra na pustyni, teatr
na Pacyfiku.

Ale czemu Bóg stworzył pchły, węże, skorpiony,
powoje i osty?
Czyżby w Biblii zabrakło kilku rzeczowników?

Zazdrość banity

Renacie

Ogrody wznosiły wieżowce dla wróbli.
W krzewach tui albo cisów
mieszkają szaropióre rodziny śmieciuchów.
Ale oprócz wróblích slumsów
ogrody zbudowały w czerwcowych głogach
wille dla słowików; na drzewach czereśni
ustroili pokoje dla szpaków
i gilów w czerwonych kubraczkach.

Ogrody także miały swój początek,
I koniec – niekiedy łagodny, przenikający w sady
albo w uprawne zagony.
Lecz wiele ogrodów kończy swój żywot na pętlach
asfaltowych szos. Tam żyją wygnańcy: sroki
w patyczkowych szałasach na postrzępionej brzozie,
kawki i wrony w chudych koronach topól.

Reszta ptactwa dostąpiła błogosławieństwa –
zamieszkuje pałace lasów.
Tam może śpiewać lisom lub sarnie.
Niekiedy w ów matecznik przybywa człowiek.
Oszołomiony muzyką, iskrami rosy na popielatych woalkach,
znosi w takiej chwili jajo myśli: o swojej nagiej biedzie;
i że odarty został ze szczęścia powrotu
do zielonych pałaców lasu.

Wtedy cierpko zazdrości błogosławionym. I za ten grzech
czeka go kara – wieczna banicja w pajęczynach ulic
które tak pilnie budował. Przez wieki.

Marne i pożyteczne

Surowe mrozy odbierały ptakom pożywienie,
padały deszcze, słońce przypalało delikatne liście;
zmieniały się tylko kalendarze.
Milczałem.

Dostrzegłem ogień na korze sosny o brzasku.
Nozdrza moje tonęły w kępach ziół i błdziłem
słodko pijany skrajami łąk, brzegami rzek i lasów.
Wątpiłem.

Czy może mieć znaczenie dla kogoś
że nagle łaknę szelestu kropli w lipach?
Czy szmer ten nakarmi go? I czy pragnę tego?

A jeśli, to zapewne jak i ja, w samotności
będzie łykał sople gorącego wieczoru, który spada
nagle i ostro pod sierpniowym księżycem;
będzie kładł na serce, jak i ja, słodki plaster
pejzażu, który zabłąkał się w powidoku
pędzącego na oślep żywota.

Więc milczałem. Tyle lat. Wątpiłem – czy moje
wołanie potrafi przekonać, że jest opatrunkiem?
Lecz jeśli tylu ranionych błąka się po ulicach,
bezdrożach, wśród promieni przysłoniętych marnym
pyłem, milczenie również nie jest pożyteczne.

Dwie fotografie

Januszowi Szuberowi

Ten chłopiec w sepii z wypłowiałą grzywką
skryty do pasa za koguci grzebień
dziwi się pszczołom że potrafią z lipy
nasaczyć miodu bez żądła odlecieć

Smukła dziewczynka na wyblakłym zdjęciu
która się drapie pod chudym kolankiem
dziwi się smutnym ludziom na przyjęciu
że czemu że jak skoro słońce i ptak

Fotograf chłopca umarł ze starości
drugi szczypcami pocięty przez raka
Chłopiec posiwiał słucha skrzypu kości
Dziewczynce radzi sok z malin na katar

Srebrna dziewczynka zatopiona w zdjęciach
do chłopca szeptem Poznajesz kochanie
Nie dziw że smutni byli na przyjęciach
Gdzie płowa grzywka Chudziutkie kolanka

Nauki błahe

Nauka o rzeczach błahych jest bardziej użyteczna niż trudzenie umysłu wzorami, które mają wyjaśnić różnice pomiędzy wodą słoną a kwaśnym deszczem. Bo oto wiedza o zwyczajach roślin stosowana bywa przy budowie domu i przez odpoczywających w cieniu. Znajomość obyczaju ptactwa przydaje się zarówno kapłanom głoszącym o duszy człowieczej jak i występny, którzy posępnie liczą - wsparci o więzienny mur – na łaskę przemawiania co dzień do sroki.

Ileż pożytku przynosi wiedza o tajemnicach robót domowych; o przesuwaniu pajęczyn w sobotnie popołudnia, o strącaniu kurzu z szaf i książek, o soli dodanej przed lub po gotowaniu; i o tysiącu innych sztuczek, które skrywają kuchnie i spiżarnie, rzadko czyszczone buty i białe koszule odklejone od ciała w niedzielny wieczór.

Rzeczy błahe stają przed nami w każdej chwili ze współczuciem: że wciąż musimy się z nimi zmagać. Otaczają nas od pierwszego oddechu po zdziwienie końcem, tak oczywistym (zdawałoby się) dla śmiertelnych.

Błahostki są jak ziarno grochu w naczyniu z grochem. To one każą stawiać pytania, na które nauki poważne boją się odpowiadać twierdząco, lękają się im przeczyć. Pytania: kto opiekuje się pyłem na polnych drogach, czemu nikt nie leczy zasepionej wrony nad skibą, czy rosa schnie ze strachu przed ognistym słońcem.

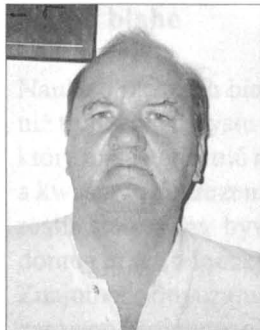
Nauki o rzeczach błahych są najstraszniejszą akademią; wylegarnią pytań przynależnych talentom; nawet pytań, które dotąd filozofom się tylko śniły.

Epitafium mistrza Bulhakowa

Miał przestrzelone dłonie i stopy
- powiedział cudzoziemiec
przechodząc Małą Bronną
Zrobił to Piłat przed Burzą
która miała obmyć krwawe ślady
z jego prawicy podanej na zgodę
przy pożegnaniu.

Potem wzeszedł księżyc i Piłat
ze swym wiernym psem
badali kratery, martwe morza
aby móc nie uwierzyć.

I stało się: Piłat i pies
woleli oszaleć, jak kazano.
Przez ten martwy księżyc...



Wiesław ZIELIŃSKI ur. 6 maja 1949 r. w Rzeszowie. Jako poeta debiutował w 1972 r. w „Prometeju”. Od tego czasu zajmuje się również publicystyką sportową, historyczną i społeczną. Jest autorem tomików wierszy: *Zabawa w dorosłych* („Iskry” 1979), *Bogowie moich czterech ścian* („Iskry” 1981), *Rok* (Wiersze dla dzieci - 1984) i *Niestalość wiatru* („RAF” 1993), *Przemijanie* („RAF” 1996). Jest autorem książek prozatorskich: *Ze stambucha dawnego Rzeszowa*, za którą otrzymał

Nagrodę Literacką Miasta Rzeszowa i Medal im. Franciszka Kotuli (Libri Resovienses 2000), *Magiczne miejsca magiczne lata* (ZLP Oddział w Rzeszowie 2002). Jest członkiem i prezesem Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie.



Podkarpacki krajobraz

Siostram i bratu

1

Twarz ojca tak pofałdowana,
jak podkarpackie wzgórza,
na których pierwszy raz
zobaczył naszą matkę.

2

Twarz matki
tak porysowana zmarszczkami,
jak ziemia na podwórku,
krojona w dziecięcych grach.

3

Nasze twarze jeszcze nie pofałdowane
i nie zniszczone zmarszczkami,
a oczy nadal
śmiało patrzą przed siebie.

4

Można okłamać spojrzeniem,
lecz nie da się ukryć,
że wszystko co w nas najlepsze,
odchodzi wraz ze śmiercią rodziców.

Fotografia

A myśmy tacy – na zdjęciu – szczęśliwi;
ciocia Mery Wolk, która dawno w niebie,
tutaj na ziemię patrzy dobrotliwie,
prawie naszym, spolszczonym spojrzeniem.

I w oczach ojca raka nie ma wcale,
jeszcze nie drąży ciała aż do bólu;
trąca się tato szklaneczką na zdrowie,
jak każe nasza staropolska wiara!

Mama z ufnością spogląda w aparat,
który utrwała tak podniosłą chwilę;
już nie wiadomo, co więcej podziwiać:
czy „błysk techniki”? – czy mamy naiwność?...

Lecz myśmy tacy – na zdjęciu – szczęśliwi,
jeszcze nikt nie wie, co go jutro czeka;
i tylko płynie utrwalony banał,
powracający jak ułomna rzeka.

Przemijanie

W pierwszą rocznicę śmierci Mamy

Bez Niej wszystko dalej się toczy,
lecz jest teraz całkiem inaczej,
bo zabrałeś do siebie, mój Boże,
moją cząstkę i pełnię wybaczeń.

Jeszcze tylko dzisiaj powiem,
o czym dotąd nieśmiało myślałem,
że największą porażką nas ludzi,
jest pośpieszne najbliższych kochanie...

Rzeszów, dnia 23 lipca 1996 roku

Najpiękniejszy dzień

1

Tego dnia obiecał pojawić się Jan Christian Andersen.
Przebrany za świętego Mikołaja był równie nierealny,
jak nadzwyczajnymi były jego baśnie.

2

Ukryty za szafą
z bojaźnią, ale i niecierpliwością
oczekiwałem jego przybycia.

3

Długo nie nadchodził, aż wreszcie rozległo się mocne pukanie
laską we drzwi. Mama zapraszała grzecznie, a tato
z pobłażliwym uśmiechem patrzył na mnie i resztę rodzeństwa.

4

Jednym tchem recytowałem pacierz.
Przysięgałem, że zawsze
byłem grzeczny...

5

Kiedy autor pięknych baśni opuścił nasz dom,
zrobiło się dziwnie smutno. Otrzymane zabawki
tylko na chwilę wypełniały ów smutek.

6

W kilka lat później
Andersen zachorował i nie pojawił się
w grudniowy wieczór.

7

Nad samym rankiem
z bijącym sercem rozwiązywałem paczuszkę
znalezioną pod poduszką.

8

W mojej dłoni znalazło się kilka dekagramów
orzechowego bloku, a mama pośpiesznie tłumaczyła,
że „tego roku Mikołaj był bardzo biedny...”

9

Nie wiem dlaczego, ale z wszystkich
otrzymanych w dzieciństwie prezentów
najwięcej cenię kilka dekagramów orzechowego bloku...

Identyfikacja

Wystawał człowiek głową
ponad wiek
(powiedzmy dwudziesty).

Bito więc człowieka
razy tyle samo
(powiedzmy po głowie).

Poszedł zatem człowiek
po rozum do głowy
(powiedzmy nogami).

Chodzi teraz człowiek
nogami po ziemi
(powiedzmy bez głowy).

Byłem cały w nadziei

Żonie Barbarze

Dobrze mi było chwytać za pióro;
byłem cały w nadziei,
jak kobieta ciężarna
z pierworodnym.

Mówiłem:

- napiszę wiersz o Niej,
jak o kobiecie,
której nigdy nie było.

Tworzyłem szczęście,
bawiąc się grą słów,
jak ludzie pozbawieni wyobraźni,
zabawiają się pojęciem miłości.

Może wówczas opuściła mnie nadzieja?
Urodziłem prawdę,
że należysz
do innego świata.

Jakże mi
ciężko
z tą lekkością
prawdy.



Andrzej ŻMUDA ur. 22.10.1946 r. w Rzeszowie. Dziennikarz, poeta, krytyk literacki, wydawca. Absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Jako poeta debiutował w magazynie młodzieżowym *Prometej*.

Później redaktor *Prometeja*, kierownik artystyczny i organizacyjny Ogólnopolskiego „Jarmarku o Laur Prometeja”. W latach 1981-1995 redaktor naczelny warszawskiego miesięcznika społeczno-literackiego *Okolice*, redaktor serii *Biblioteka Okolic*.

Od 1995 r. jest redaktorem naczelnym rzeszowsko-warszawskiego wydawnictwa *Ad oculos*, oficyny wydającej przede wszystkim poezję, prozę, satyrę.

Wydął [tomiki poezji:] *Umawiam ludzi z twoim placzem* (Iskry 1979); *Baldachówka* (KAW 1987); [książki zawierające wywiady i komentarze z serii *Antologia Polskiego Rocka*]; *Moja i Twoja nadzieja* – Hey (1994); *Prymityw i...* – T.Love (1995); *Do Ciebie* – Varius Manx (1996); *Kły* – Illusion (1997).

[książki zawierające wywiady i komentarze z serii *Antologia Disco Polo*]; *Brzydkie kaczątko* – Bayer Full (1995); *Twój Romeo* – Mister Dex (1996); *Planeta Miłości* – Boys (1996). Za tomik *Baldachówka* otrzymał I nagrodę literacką Prezydenta Miasta Rzeszowa (1987).



Diana

Jerzemu Januszowi Fafarze

Kiedyś, zupełnie niespodzianie,
gdy księżyc chował się za biurko,
wsunęła pysk pod moje ramię
i przytuliła się cichutko.

Za oknem, jak za dawnych czasów,
gwiazdy spokojnie śniły obłok,
w telewizorze jakiś facet
obrzucał błotem inne błoto.

I kiedy nagle, po programie,
lepiej nie mówić, co za chamstwo,
flet się pojawił na ekranie,
westchnęła swoją duszą babską

I wyciągnęła pysk swój psi
jakoś gotycko tak do nieba
i naprężyła z całych sił
swą psią tęsknotę, by wyspiewać
swojego Boga czy Anioła...?

Kiedyś, zupełnie niespodzianie,
gdy księżyc schował się za biurko,
psi pysk wtuliła w moje ramię
i śpiewaliśmy tak cichutko.

Rzeszów 1991

Halterki

Tadeuszowi, mojemu bratu

Na niebie było lato już
i wcale takie nie upalne
upierał się w zapachu wróbel
i mlecz
śliwa żółtym iskrzyła świergotem
a rumian jak to rumian
wypinając piers
sam w sobie tworzył Baldachówki rzecz.

Na niebie było lato
i ojciec piwsko z wąsów strącał mimochodem
Moskal i Brydak wiedli swój jabłkowy spór
a na balkonie gacie Pani Patrynowej
bezszelestnie zwiślały jak Robespierre'a trup.

Na niebie tego lata nic takiego nie było
Towarzysz Wiesław przemawiał
i Pani Bolcowa
a nasza najukochońsza matka
zbyt nerwowa w słowach
dla córeczki poszukiwała halterek.

Na niebie tego lata już się nikt nie powiesił
przyjechało Wujostwo z Katowic dalekich
Moskal się upił
a Wolanik zbiesił
tego lata.

Na niebie tego lata
Mój brat mój braciszek
ubrany jak jaskółka w słomiany kapelusik
patyczkiem czarodziejską tak jak Wróżka różdżką
chował swój skarb najcenniejszy
buket zielonych listków.

Na niebie tego lata.

Ballada o księciu Myszkynie

Joli Marciniak

Niczego mi nie brakowało,
ni strawy, ni miłości.
Spotkałem dobrego człowieka
na Cyplu Czerniakowskim.

Ponoć był to przypadek,
jak ponoć olchy i pszczoły,
jak przystań, którą ogonem
strącałem w wiślane wody.

A na początku drzałem i nie wiedziałem
czy ręce, które mnie zapraszały
nożem nie wbiją się w serce.

Drzałem i nie wiedziałem,
futerko moje liche
wówczas się zrumieniło
pod słońcem, pod księżycem.

A później – tak jak w bajce,
w której źli ludzie i dobrzy
mieszkali obok mojego
mieszkanka – bardzo samotni.

Pamiętam, gdy wyfruwałem
na swoich łapkach jak tygrys,
żadna mysz, żaden wróbel
tak bardzo nie byli mi bliscy.

Pamiętam, że mnie nazwano,
pamiętam jak pieszczotliwie
na moje wąsy wołano.
Pamiętam, że nie dla mnie
pułapkę szykowano.

Drżałem i nie wiedziałem,
futerko moje liche
wówczas się zrumieniło
pod słońcem, pod księżycem.

Pamiętam... nie pamiętam,
trawa taka zielona...
błąkał się jakiś owad
wokół mojego ogona...

Pamiętam – że jak w bajce,
choć ona przecież nie dla mnie...
Usłyszałem, że Myszkina
kocha się w jakiejś pannie.

Że dlatego mnie właśnie,
że kochałem tak szczerze,
za moją kocią miłość
trzeba zabić jak zwierzę.

Drżałem i nie wiedziałem,
futerko moje liche
wówczas się zrumieniło
pod słońcem, pod księżycem.

Teraz wiem – choć wilgotność
choć robaki, choć proch,
zbrodnia nie jest jak woda,
sumień nie skryje mrok.

Niczego mi nie brakowało,
ni stawy, ni miłości.
Spotkałem też złego człowieka
na Cyplu Czerniakowskim.

Ale moje futerko,
Czarodziejskie lusterko.
W nim odbija się Pani,
w nim przytula mnie wciąż.

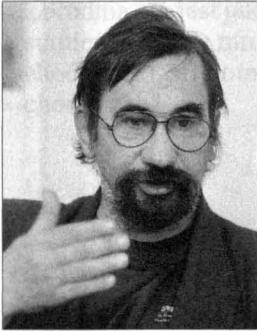
Księżę Myszkina jest dla niej.

Zbrodnia nie jest jak woda
sumień nie kryje mrok
choć robaki, wilgotność
choć proch.

1991

Moja Matka

W oczach ma ptasi ból – bezskrzydłość
zwichniętą łapką swych nadziei
kalendarz (jedna fikcja więcej)
pozwala przenieść łyż z niedzieli
na poniedziałek
przez pozostałą część tygodnia
w miesiącu w latach które trzyma
ciepło chowane gdzieś pod lękiem
(chorego konia piękna grzywa)
przez pozostałą część tygodnia
walczy o skrzydła.



Marek PĘKALA ur. w 1949 r. w Skierniewicach, od ponad 30 lat mieszka w Rzeszowie, absolwent tutejszej WSP, od 10 lat dziennikarz GC „Nowiny”.

Opublikował: *Życiowy obowiązek* (Wydawnictwo Literackie, 1977); *Szare zdrowie jutra* (KAW, 1979); *To nic, to wszystko, Gdzie Indziej* (1992); *Kartki rzeszowskie i błękitne*, wiersze i krótkie prozy, Towarzystwo Literackie im. Stanisława Piętaka 1998.

Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Używa tytułu, na który w pełni zasłużył: director of four sons.



Brachu

Z dala od wsi z czarną szosą widać tylko trawiaste wzgórza i doliny z kępami drzew, już rudymi pod jesień. I bardzo dużo nieba. Aż chciałoby się poprunąć. A na samym dole - stara, samotna chałupa, obok stodoła. Przed chałupą - koziołek do cięcia drzewa. I rosochata, goła gałąź wbita w ziemię, taki świecznik czy raczej totem.

Wystarczy, ot, lekkim pociągnięciem wysunąć z futryny hak ze skoblem, by wchodząc do środka, wałnąć się w czoło o niską framugę. Niezła nauka pokory. Woń stęchlizny miesza się z zapachem czerwonych jabłek rozrzuconych na podłodze. Pan Jezus i Matka Boża spoglądają ze ściany. Zimna blacha kuchni.

Spod sterty kapot na łóżku wystaje głowa. Niechcący nadepnięte jabłko zachrobotało pod butem.

– Przepraszam, już wychodzę – mówi rozczochrana głowa. Otwiera oczy, patrzają na złuszczony sufit.

– Ja pana nie wyrzucam, niech pan śpi.

Obok łóżka, na podłodze – talerz z ugotowanymi ziemniakami, plastikowa butelka pełna mleka.

– Dlaczego pan nic nie zjadł?

– A tam... – gdyby nie chryпка, można by pomyśleć, że odpowiedziało dziecko.

– Mógłby pan trochę posprzątać.

Słychać tylko skrzypienie łóżka, stare dziecko przewróciło się na bok, pokazując policzek ze srebrzystym zarostem.

W drugiej izbie, z liszajami wilgoci na ścianach, z dziurami w spróchniałej podłodze, stara komoda, ładnie rzeźbiona, na niej półki z książkami: geologia, geodezja, astronomia, historia muzyki, „Pan Tadeusz”, „Dzieje głupoty”, poradniki – jak naprawić dach, jak zbudować altanę, wspomnienia himalaisty, który zdobył Mount Everest... Obok skrzypce z dwiema strunami, zakurzony instrument przypominający cymbały, gitara, narty, rozsypane gwoźdźki, dłuta do drewna...

– Lubię poczytać. Ale wolę muzykę. Przepraszam...

– Za co? Niech pan śpi.

– Wtedy była taka ostra zima – mówi pan Edward – myśmy się już stamtąd wynieśli, ale Witek ciągle spał w stodole. Baliśmy się, że zamrznie. Wciągnęliśmy go do chałupy. I tak już został.

- Co to, panie, za dziwak! – mówi daleka sąsiadka, ma chyba z kilometr pod górę – ja mu, panie, przyniosę, żeby nie zdechł z głodu, a on nie ruszy... Głupi i tyle.

Wiosenne promienie buszują wśród zieleniejących pól, ale wietrzyko co rusz przepędza je migiem. Zboczem przemyka kilka saren. Lecą sinawe chmury. Prawie spod nóg wyskakuje zając. Na zakręcie polnej drogi pojawia się Witek. Bose stopy, utyłane w błocku, ta sama, jeszcze jesienią widziana na nim koszulina, te same krótkie, obsmarowane spodenki, nogi jak patyki, ta sama ogorzała, nieogolona twarz. Jedyna nowość to słomkowy kapelusz i przerzucony przez ramię koc.

– Spałeś w stodole?

– Co ty, w polu lepiej. Gwiazdy widać. Muszę iść do roboty.

Stodoła pełna siana, pod dziurami w dachówce – głębokie, śmierdzące zgnilizną leje. Do desek ściany przybita folia, dziwnie wypukła na dole. Za folią - siekierka, długi nóż i krótka piłka do drewna. Witkowy oręż. Trzeba mu zostawić.

– Ma siostrę z domem – mówi daleki sąsiad – ale za cholere nie chce u niej siedzieć. Żeby się chociaż ubrał. Taka psia natura.

– Ale dużo wie, a jaki artycha, przecie to niegłupi chłop.

– No to co, jak głupi.

Słychać warkot traktora. Z byłym właścicielem przyjechał po swoje graty.

– Przecieź cię nie wyrzucam. Chałupy mi popilnujesz, skosisz trawę, trochę grosza zarobisz...

– Przecie już twoja. Nie godzi się.

Rzucamy graty na przyczepę jak popadnie. Książki mieszają się z butami, ła chy z żelastwem.

– Ten łom jest mój – mówi Witek.

– Co ja tu bez niego zrobię?

- No to dobra.
- Jakoś ci splecę.
- Dobra, dobra.
- Chodź, coś zjemy.
- Nie. Ale daj bułkę, jak masz.

Zamieszkał w suterenie u majątnego gospodarza we wsi, jako parobek.

– Chciałem mu załatwić emeryturę czy rentę – opowiada gospodarz - ale on, że nie i nie. Kiedyś chcieli mu dać grosz z opieki społecznej, ale on nie i nie. I co mu pan zrobisz.

– Ma swój ambit i tyle.

Twardy ten Witkowy fotel, trzeba go wyprać, wywietrzyć, fajnie się kręci, ale piszczy wtedy jak mysz z przytrzaśniętym ogonem.

Trzesczą gałęzie chrupane przez ogień. Chłopaki smażą na patykach kielbasę.

– No to zdrowie chorych!

– No to!

Dwie gitary, skrzypce, tamburino i śpiew. Witek raz na skrzypcach, raz na gitarze, ale za każdym razem na melodyjnej chrypie. Z dymem ulatuje piosenka na dwa męskie gardła:

Niewielu z nas zostało

I resztę zetrze czas.

By wrócić, sił za mało już.

A zresztą świat przeklął nas.

– No to, żeby nasi sąsiedzi lepiej od nas nie mieli!

– No to!

Jest i flet. Bluesowa nuta płynie:

W miękkiej trawie połóż się,

starej chaty wiernie będziesz strzegł.

Gdy z ciemności wstanie nowy dzień,

dobry pies obudzi mnie.

Wieczór rzeczywiście letni. Przy ognisku, z gorzałką w trzewiach, coraz cieplej. Ściągamy koszule. Witkowy łąch ląduje w ogniu.

– No, co ty, co ty...

– Masz tu, stary, ładną koszulkę, zobacz, że wcale nie nowa...

– A tam...

Księżyc zgąsł za chmurami, zaraz potem ognisko.

– Samotność bywa nieraz konieczna - patrzę na dogasający żar - ale, do cholery, nie może być sposobem na życie... Witek, słyszysz?

Woli słuchać swojej gitary. Wreszcie odpowiada filozoficznym pytaniem:

– Może jeszcze po jednym?

I pochłonęła nas ta filozofia.

– Tu wszędzie pełno wisielców... Jasiek, Heniek, Staszek... Głupie dupki.

– Ale szczęśliwe – domyka Witek.

W ciemności słyhać poszum wiatru. Chłodek jakby z dalekiego cmentarza we wsi.

– Nie boisz się Boga?

– Boję. Ale kościoła też się boję.

– Najważniejsze, że myślisz, to też rodzaj modlitwy.

– Jak zaczynam myśleć, to od razu głowa boli. Taki huk mnie rozdziera...

– Ech, brachu, głupku Boży...

– Dobrześ powiedział... Brachu...

– No to za...

Chyba spadająca gwiazda walnęła go po tym kielichu w łeb, bo naraz poleciał z pniaka i potoczył się w trawę.

– Do łóżka, już!

– Nie, ja tu Ziemia - łóżko moje...

Rzuciłem go na łożo jak niespotykaną kłodę, bo chrapiącą.

Na kredensie zostało zdjęcie. Na jakiejś scenie, na skrzypcach gra Witek, w białej koszuli, w czarnym kapalachu. Teraz za piwo grywa kumplom ze wsi, gdy z ciemnymi butelkami w spracowanych łapach obsiadą sklep.

– A, Witek. Ta łajza... – gospodyni ze wsi gdera, poprawiając okulary na nosie. – Robić mu się nie chce. Nawet jeść mu się nie chce, tylko by chłął. Skaranie boskie. Pomrze jak mój stary, świeć Panie nad jego duszą. Witek to pewnikiem duszy nie ma. Tylko po polach by się włóczył. Taki zwierz.

Znowu jesień. Chałupa już podremontowana. W oknach szyby, za oknami firanki. Trzeba sprawdzić, jak zwykle po przyjeździe, czy naokoło wszystko w porządku. O, cholera, od potoku okno otwarte. Jak to możliwe?

Ale z domu nic nie zginęło. Dziwne.

– A co to za problem – mówi daleki sąsiad. – Jak haczyk w oknie ma luz, to pukasz w ramę patykiem, z jednej strony, z drugiej, od góry, od dołu, aż wyskoczy.

Ale kto to zrobił? I po co, jak nic nie ukradł.

Wieczór, po rąbaniu drewna i innych robótkach. Już po myciu, po kolacji. No to teraz tylko usiąść przy ciepłym piecu w Witkowym fotelu i poczytać. No to. Cholera, fotela nie ma na swoim miejscu. Ani gdzie indziej. Więc jednak. Więc to on?

Chciałem go zapytać o ten fotel, ale jakoś nie przychodził. Jedni mówili, że chłopcy w nocy pobili się na przystanku. W czubie tego mieli. W kilku Witka bili. – No to obwieście mnie, obwieście! – klęcząc, bełkotał ponoć i pluł krwią.

Po kilku dniach, z opuchniętą gębą, kuśtykając, powlókł się do autobusu. Mówili, że nie dojechał do szpitala w mieście, umarł na środku ulicy.

Trzeba to sprawdzić. W pogotowiu, w szpitalu, w kostnicy, na policji. Nie mieli w papierach takiego nazwiska.

Znikł. Rozpłynął się.

Gdzieś po miesiącu. Dzwoni telefon w domu.

- Cześć, tu Witek...
- Bomba! Gdzie jesteś?
- W Bieszczadach. Mam ładny pokoik...
- Kiedy przyjedziesz?
- Nigdy.

grudzień, 2001

SPIS TREŚCI

Wstęp	6
Barbara Brach	8
Powroty	9
Przydrożna lipa	10
Zasuszony bukiet kwiatów	11
Adam Decowski	12
Żeby jeszcze	13
Modlitwa człowieka	14
*** <i>z tej drogi przecież</i>	15
List	16
Ten ból głęboką raną wiersza	17
*** <i>wczoraj</i>	18
Wędrówka	19
Stanisław Dłuski	20
Piosenka dla opuszczonych matek	21
Pijani Bogiem	22
Alkoholik na pustyni	24
Jerzy Janusz Fąfara	26
Wspólnota wulkanów	27
Bar Świat	28
Przewoźnik deszczu	29
Przewodnik stada	31
Zdzisława Górka	32
Smutek jabłoni	33
We mnie	34
Odejście	35
Nieważne	36
Łupina	37
ks. Jan Kalinka	38
Wątki religijne	39
Grzechy widziane z roweru	40

Frankowe gołębie	41
Jezus liczy?	42
Do Karolów od Karola	43
Stanisława Kopiec	44
Kapliczka na Pańskiej Górze	45
Kolczaste Królestwo	46
Umarli	47
Leśniczówka w Strazydłu	48
Sprzedałam lato	49
Grzech	50
Wielkanoc	51
Janusz Koryl	52
Ballada o poczekalni	53
Uniwersalia	54
Żagle	55
Szanse	56
Fotoplastikon	57
brat Wenanty Krzysztof Lechowicz	58
Chwila	59
Jeszcze w sercu	60
Nie tylko dlatego	61
Ryszard Mścisz	62
Obecność	63
Achilleida	64
Matnia słowa	65
Jacek Napiórkowski	66
Siły	67
Nakreślony	71
Anna Mirosława Nowak	72
Oddech w dłoni	73
Twarze	74
Jej zapach	75

ojciec Cherubin (Julian) Pająk	76
Dwie róże	77
Morze biblijne	78
Po Tyberiadzkim i Martwym Morzu	80
Życzenie dla młodych	81
Mateusz Pieniążek	82
Lord White na spotkaniu z liściem	83
Lord White tęskni	84
Lord White na spotkaniu z motylem	85
Łąka pozostaje	86
Lord White w bieli Agnieszki	87
Jan Tulik	88
Historia zapomnianej półki	89
Rzeczowniki	90
Zazdrość banity	91
Marne i pożyteczne	92
Dwie fotografie	93
Nauki błahe	94
Epitafium mistrza Bułhakowa	95
Wiesław Zieliński	96
Podkarpacki krajobraz	97
Fotografia	98
Przemijanie	99
Najpiękniejszy dzień	100
Identyfikacja	102
Byłem cały w nadziei	103
Andrzej Żmuda	104
Diana	105
Halterki	106
Ballada o księciu Myszkynie	108
Moja Matka	111
Marek Pękala	112
Brachu	113



ISBN 83-916114-5-0



Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu

